

# POWIEŚĆ: NOWELA

Rok XX

Warszawa, dnia 7 Lipca 1928 roku

Nr. 27

ZOFJA NAŁKOWSKA

POWIEŚĆ

## NIEDOBRĄ MIŁOŚĆ

26)

Często się tak teraz zdarzało. Paweł szedł tam, ale nie prosto stamtąd wracał. Jeszcze potem szedł do klubu, gdzie dawniej nie chciał bywać, szedł zwyczajnie z kimś spotkanym do restauracji. Tak wolał. Tak mu się wydawało jakoś lepiej, bardziej prosto i naturalnie. Jeszcze karty, jeszcze to i tamto i zwłaszcza nazwisko człowieka, z którym się spędziło wieczór.

— No więc cóż takiego? — dziwił się później pochmurnie, zatrzymał go przecież starosta albo ktoś z województwa albo ktoś ze wsi. A czasami poprostu major Świernia chciał wracać razem i prosił, żeby na niego zaczekać.

W godziny nocy Agnieszka już nie płakała. Leżała, szczypiącymi oczami patrząc w przezroczystą ciemność. Niebo za szerokim oknem było jasne i miało po sobie gwiazdy.

Zmęczenie mierzyło się zimnem w głowie, słyszalnym uderzaniem serca. Nie wiedziała, gdzie on jest. Mógł zatelefonować, ale tego nie zrobił. Myślała więc, gdzie on jest. Myślała, że może jednak być z nią, że może teraz Renata znalazła sposób, by uwalniać się wieczorem, że może jakoś wymyka się z domu, gdy śpią, że może nic sobie już nie robi z niebezpieczeństwa.

Myślała tak albo inaczej, martwiała, głuchła, na krótkie chwile traciła przytomność, drzemiąc. Budziła się ze snu, w którym on wracał. Ale to nic nie wyjaśniało, nawet go nie widziała, tylko w tym śnie było wiadomo, że wrócił. Mijało dużo godzin. Powrót Pawła rozbijał ciszę domu na różne małe łoskoty. Zamek, schody, łazienka. Udawanie snu. Nie otwierała oczów, nie wysuwała twarzy z poduszek. Udawała sen i on w to wierzył, nie zważając, pragnąc właśnie w milczeniu pomyśleć o swoim.

15.

To była prawda, że hrabina Osieniecka opuszczała Pory, że od jesieni miała zamieszkać w naszym mieście.

Pałac Osienieckich, stojący od dwóch wieków przy głównej ulicy miasta, otoczony małym ogródkiem z bardzo starymi drzewami, pośpiesznie teraz odnawiano. Wewnątrz wybudowano drugą klatkę schodową, duże sale przerobiono na oddzielne mieszkania z kuchniami, przekształcając zbytkowną rezydencję na zwykłą kamieniczkę dochodową. Większy apartament na pierwszym piętrze przeznaczony był dla pani Osienieckiej.

Obmyśliła tak całą tę sprawę Fleur. I ona przyjeżdżała teraz wciąż do miasta by kontrolować architekta i samej czuwać nad budową.

Pod kolumnadą fasady wybijano teraz szerokie otwory, odpowiednie dla witryn, gdyż cały parter przeznaczyla Fleur na sklepy. Ogrodzenie od ulicy zniesiono, wycięto parę drzew i na tem miejscu miał być założony wąski skwer, nie tamujący dostępu do wystaw i magazynów.

Bywając w mieście, Fleur znowu teraz częściej zajeżdżała do Agnieszki. I właśnie ta, napozór najbardziej obca kobieta, Agnieszce wydawała się najłatwiejsza do zniesienia.

Fleur musiała przede wszystkim zobaczyć Kamila. Oglądała go uważnie, pytała o wagę, porównywała wciąż ze swoją małą córką, która była młodszą o pięć miesięcy i miała na imię Wanda.

— On ma czarne oczy, a ona ma niebieskie oczy. Dziecko powinno mieć niebieskie oczy. I ona ma lepsze rumieńce. Musi być zdrowsza.

Fleur była we wszystkim pewna swojej przewagi. I zawsze myślała, że to, co jej dotyczy, jest ważniejsze, jest doskonalsze i bardziej zajmujące, niż wszystko inne.

Ale dlatego Fleur nie interesowała sprawą Pawła, Fleur nie zauważała Renaty, nic o tem wszystkim nie wiedziała. I tem zaświadczała jakgdyby, że wszystko na świecie jest jak dawniej.

W ogrodzie oglądała Fleur z uwagą kwitnące róże, kwitnące nakrapiane piwonje, pytała, skąd były sprowadzone. I mówiła o tych, które sprowadziła do Porów, że są piękniejsze. Powiedziała też z powodu caprifoljum, oblewającego wałem zieleni, poręcz tarasu u Blizborów i najeżonego herbacianami, pachnącymi pazurkami, że woli glicynje.

Codzienny byt, bieżąca rzeczywistość, wszystkie jej namacalne, oczywiste kształty — to jedynie mogło być dla Fleur przedmiotem rozmowy.

Wadowita zyskała jej zupełną aprobatę — białe fartuch od stóp do głowy, biały czepiec, pewność siebie, zwłaszcza gdy szło o przepisy dziecinnej higieny. Ale naogół nie miała zaufania do tutejszych piastunek i dla Wandy sprowadziła *nurse* z Anglii. I jednakże jej *nurse* była lepsza.

Kornel przyjechał też i oboje zabrali Agnieszkę do Porów. Dała się zabrać, choć sama nigdyby teraz o tem nie pomyślała, by tam pojechać.

Pory zmieniły się bardzo przez ten rok. Pałac przypominał teraz jakiś *hotel-palace* nadmorski. Klubowe fotele, palmy w holu, sala do czytania ga-



zet. Okna wszędzie powiększone, jednoszybowe, dały masę światła i przejrzystości. Była tu świeżo, czysto i wesoło.

W upale siedziała przed pałacem pani Osieniecka — chudziutka, znikoma, mówiąca cienkim, ironicznym głosem, lekko urywanym, jak u pantarki.

Tym ostrożnym głosem hrabina rozpytywała Agnieszkę o dziecko, a zaraz później o pana ministra.

Agnieszka powiedziała, gdzie teraz jest ojciec I, że dawno go nie widziała.

— Pisałam nawet do ojca, żeby przyjechał. Może przyjedzie.

Pani Osieniecka pomyślała chwilę i powiedziała:

— Tak, może byłoby lepiej, żeby przyjechał.

Zapytała też Agnieszkę o pana Blizbora i słuchała jej odpowiedzi z delikatnym, finezyjnym uśmiechem. Ale tutaj wogóle niewiele dało się powiedzieć.

Agnieszka czuła, że pani Osieniecka jedna tutaj wie coś o jej sprawach, że ją to jednak w jakiś sposób obchodzi. Ale nie umie znaleźć łatwej i prostej formy, by to wyrazić.

Nie była ani taka spokojna, ani taka opanowana, jak kiedyś. Jej wąta, krucha cielesność nie ukrywała już żadnej moralnej siły.

Zatrzymała jeszcze Agnieszkę, którą wzywała za sobą Fleur, chcąc pokazać jej Wandę. Skarżyła się na swe zdrowie, na brak sił, który zmusza ją do bezczynności, do siedzenia z założonymi rękami. Ale każdy wiedział i wiedziała to także Agnieszka, że nie zły stan zdrowia nakazywał pani Osienieckiej usunąć się od zarządu nad wszystkim.

Działa się tu rzecz poważna i może nawet tragiczna, zachodził proces, którego Fleur była przypadkowym tylko narzędziem, a pani Osieniecka także przypadkową ofiarą. Szło o nadanie pewnym rzeczom innej nazwy, o zupełnie nowe zakwalifikowanie danego typu życia. Zdarto tu resztę złudzeń, nie zachowywano już żadnych pozorów.

To właśnie zrobiła Fleur.

Bieg życia bowiem wogóle dlatego tylko jest możliwy, że każdy w sędzie o sobie i o związanej ze sobą rzeczywistości, innych używa kryterjów, niżeli gdy sędzi innych. Jestto jakaś moralną samoobroną wobec pewnych życiowych układów, które są zupełnie nieuniknione, na które nie mamy żadnej rady. Zastaliśmy je bowiem gotowe i wyzwolenie się z nich byłoby wysiłkiem, na który zdobyć się mógłby tylko mocarz moralny, tylko bohater.

Gdyby zaś wszyscy ludzie uświadomili sobie winy swoje w tych rzeczach, na które nie mogą poradzić — to byłoby strasznym poniżeniem zbiorowej ludzkiej godności, jakimś wielkim upadkiem moralnej samowiedzy człowieka.

Tego niebezpieczeństwa zresztą wcale niema, chociaż marzą o niem tak lekkomyślnie reformatorzy i moralisci. Bo nawet jeżeli ktoś dowie się o tem, że jego czyn lub jego stosunek do danej sprawy jest zły — to taka świadomość nie zmieni jego sądu o sobie. Każda bowiem postawa życiowa ma swoje usprawiedliwienie. I jeżeli pomyśleć uczciwie nad rolą, jaką w życiu ludzkości spełnia rozum, to jestto zawsze tylko tłumaczenie, uzasadnianie, usprawiedliwienie tego, co już orzekło, zdecydowało i wprowadziło w czyn uczucie. Jestto zawsze spóźniona motywacja czynu i sądu. I do tego celu wyłącznie służą także wszelkie dewizy i hasła.

Tem, co normuje i określa życie, są przede wszystkim jego bieżące konieczności i tak zwane je-

dyne wyjścia. Mówi się: „niema innego wyjścia“ — i to może jest prawda. Postulaty i hasła zjawiają się wtedy, gdy trzeba dać nazwę temu, co się tylko dzieje, gdy trzeba usprawiedliwić to, co się tylko stało.

Ale czy może być bez tego? Bez tego — na Boga, cóżby to było, cóżby to było!

Więc też gdy pani Osieniecka mówiła nieraz ironicznie o dzisiejszych czasach, a z tego naturalnie wynikało, że oto jak się traktuje dziś ziemian kresowych, oto jak rząd dba o ich zniszczone przez wojnę siedziby, ziemie i majątki. Gdy to wszystko mówiła — jak zwykle — wcale się nie skarżąc, tylko raczej się gorsząc lub dziwiąc, raczej nawet z tego żartując. Wtedy jej malutka, wąska, śliczna twarz o sztucznie nie przedłużonych na skronie oczach nagle poważniała, cienkie usta robiły się aż surowe, aż twarde. I kończyła tak:

— My, którzy tu wytrwaliśmy na stanowisku, my, którzy utrzymaliśmy polskość tu na kresach —

Dławiła się temi słowami, traciła oddech z uniesienia. Mówiła tak z najlepszej siebie, w poczuciu najistotniejszej swej wartości, usiłując najgłębiej ująć swoją i swojej klasy rolę dziejową i dziejowe znaczenie.

I niewątpliwie te jej słowa, ta ozdoba rzeczywistości, leżały tutaj w Porach na wszystkim — na sadach, ogrodach, ślicznie uprawionych polach, na rasowych oborach i stajniach. Każdy melon, każda puszka szparagów, każdy litr wódki, każda koserwa z gruszek białych i miękich jak masło — to jednak wszystko miało na sobie legitymację tych słów.

A teraz przyszła Fleur — obca kobieta, ukochana bezrozumnie przez jedyne jej syna — i ze wszystkiego tutaj po kolei zdzieraa tę ozdobę i usprawiedliwienie, zdzieraa i odrzucała precz, jak śmieszna i niepotrzebną etykietę.

## 16.

Agnieszka powstała w parku przy małej Wandzie Osienieckiej, która, jak wiadomo, miała oczy niebieskie, różowe policzki i jasne włosy. Może istotnie była ładniejsza od Kamila i może była zdrowsza.

Fleur bacznie, srogo przyglądała się córce i raz poraz zadawała Agnieszce jakieś pytania, na które koniecznie trzeba było odpowiadać twierdząco.

Potem powtórzyła, co powiedziała o Wandzie pani Szepiołowa i co powiedziała pani Świebodzka.

Były to naturalnie same pochwały, osiągnięte właśnie drogą takich zapytań.

I to, co mówiła teraz Agnieszka, też miało później służyć jako cytaty.

Według takiej metody Fleur uzyskiwała obiektywną rękojmię i potwierdzenie własnej dobrej opinii o sobie i swoim.

Szli dalej parkiem i Agnieszka oglądała po kolei wszystko, co jej pokazywała Fleur. Tutaj też naturalnie trzeba było wciąż mówić jakieś pochwały.

Istotnie zmieniło się wiele na tem miejscu. Park był poprzecinany, pełen nowych perspektyw i słońca. Równiutkie, rozległe gazony leżały pod drzewami, jak łąki i przypominały dalekie parki miast europejskich. Zniszczone kamienne, czarnozapłakane sfinksy na mostkach miały wklinowane świeże nosy, bramy w murze zrobione były ze sztachet żelaznych. Zdaleka — w szerokich lukach drzew — ukazywały się wszędzie widoczne, wesołe, białe, całe odnowione ściany pałacu.

(D. c. n.).



## KURJER Z SAN JOSÉ

— Już wiem — rzekła, cedząc wolno słowa — to ta nauczycielka z San José.

— Bianca! — zawołał inżynier, siląc się na ton oburzenia.

— O, czerwienisz się, spuściłeś oczy, ale co najważniejsze nie zaprzeczasz, a ty podobno kłamać nie umiesz. Ale nie pojedziesz, rozumiesz, nie pojedziesz nigdzie!

Sawicki siedział bezradnie w hamaku nerwowo kocem otulając nogi. Czuł niesmak i, cała ta scena zaczęła go potężnie nudzić. Myślał już tylko nad sposobami przzerwania niemiłej awantury, ubrania się i ucieczki.

— Pozwól, że się ubiorę, — mruknął po chwili i podniósł wzrok na Senioritę Biancę. Widok, który ujrzał, przejął go takim zdumieniem, że na chwil parę dech zamarł mu w piersi. Buńczuczna kreolka stała opodal hamaka i celowała do inżyniera z małego, kieszonkowego rewolweru, błyszczącego jaskrawo w smugach jasnego słońca udzielającego się poprzez szpary w ścianach z nieociosanych bali.

— Nie ruszać się, słyszysz! — Zduszonym głosem szeptała Bianca, a z całej wdzięcznej, dziewczęcej postaci biło takie zdecydowanie, że inżynier zamarł w bezruchu. Po chwili uśmiechnął się dość niemądrze i rzekł.

— Czy w ten sposób chcesz mnie zatrzymać przy sobie?

— To moja sprawa..., ubieraj się.

— Ależ Bianco!

— Ubieraj się, bo...

Chcąc nie chcąc Sawicki sięgnął po wiszące opodal na kołku ubranie i począł się szybko pod kołdrą ubierać.

Nagle z szumem, gwizdem i turkotem wpadł na stację pośpieszny. Bianca mimowoli obejrzała się na wątle, z cienkich desek zbite drzwi. Skorzystał z tej chwili Sawicki, i jednym susem zeskoczywszy z hamaka, wypadł poza przepierzenie drewniane, oddzielające izbę od komórki, w której sypiał zazwyczaj metys.

— Santa Maria Misericordia. — Wrzasnął zachrypty głos Roberta z głębi na wprost ciemnej komórki. W tej sekundzie padł strzał. Z desek przepierzenia posypały się drzazgi. Na dworze słyhać było gwizd ruszającego z przed peronu osobowego pociągu i łoskot kół.

— Bianco, opamiętaj się! — Krzyknął inżynier, ale w odpowiedzi zagrzmiały jeszcze trzy strzały.

— Santa Maria, Santa Maria! — jęczał metys. Sawickiego opanowała nagła złość. Kopnął jęczącego Roberta i wyskoczył z powrotem na środek izby.

— Masz jeszcze dwie kule, strzelajże! — krzyknął w ostatniej pasji, ale groźny przeciwnik był już pokonany. Z głośnym szlochem upadła Bianca na piersi inżyniera. Opasał ją więc ramionami i powstrzymał.

W tej właśnie chwili rozwarły się naraz drzwi i dał się słyszeć głos naczelnika.

— Senores, proszę, tu właśnie.

Na progu stanął mister Blace i stary pan Vanna.

— Co widzę? — zakrzyknął ten — Bianca!

Seniorita szlochała dalej na piersiach inżyniera. Mister Blace podszedł szybko do Sawickiego.

— Winszuję państwu szczerze, winszuję szczęścia. Spodziewaliśmy się z panem Vanną, że tak będzie. Prawda senior Vanna. — No czemuż pan się waha, uściśnijże senior, córkę i zięcia.

Vanna, milczący podszedł parę kroków i ujął rękę Sawickiego. Ten stał ze ściśniętą krtanią niemy i ogłuszony. Bianca oplotła mocno szyję kochanka i przestała płakać. W drzwiach tłoczyli się towarzysze mister Blace i naczelnik.

Zapanowała chwila ciszy. Z komórki wyszedł, a raczej wypełznął zgięty wprost metys Roberto.

— Senior Savici, — zamamrotał — choćbyś strzelał do mnie przez dzień cały, pośpiesznym nie pojedę, nieszczęście!

— Co on plecie? — zapytał ze zdziwieniem mister Blace. Ale nikt mu nie odpowiedział, gdyż właśnie naczelnik Miguel Alonzo niecierpliwie począł wołać.

— Senores, pośpieszny zaraz odchodzi.

— Oczywiście pan jedzie z nami — rzekł amerykańkanin do inżyniera. Ten znajdował się w stanie godnym litości. Nie mógł skupić myśli. Surowy wzrok senior Vanna — ojca, budził w nim coś nakształt skruchy. Rozradowana zaś twarzyczka Bianci wzbudzała w nim fale wściekłości od których wzrok się ćmił.

Ponad wszystkim zaś górowała świadomość, że teraz, w tej chwili, gdy go zastano w czułym sam na sam, w jego własnym pokoju na poły rozebranego z Biancą wszelka próba wyjaśnień będzie daremna. Wyjaśnieniami w tej chwili może osiągnąć tylko ten skutek, że ci dotychczas uprzejmi Senores z ojcem Bianci na czele podziurawią go kulami jak sito.

— Ależ senores, — bąknął w końcu jestem nie ubrany.

— Nic nie szkodzi — zawołał jowialnie mister Blace, którego w tej chwili Sawicki szczerze nienawidził — wdziejaj pan prędko kurtkę i jedziemy.

— Prędej, prędej — naglił senior Miguel.

— Roberto, Roberto! — zaczął wołać metysa inżynier.

Poczuł w rękę zimną stal rewolweru, który mu nieznacznie wsunęła w dłoń Bianca. Do tej chwili broń ukrywała w fałdach sukienki. Sawicki wsunął szybko niemiłą zabawkę do kieszeni.

— Roberto, Roberto!

Ale metys przepadł.

— Dajże pan mu spokój — zniecierpliwiał się senior Vanna — przedtem strzelałeś pan do chłopca, a teraz nagle bez niego obejść się nie możesz — i dodaj łagodniej: chodźmy dzieci.

Biegnąc minęli zabudowania stacyjne i wpadli na peron. Sawicki dał się prowadzić niby trzyletnie dziecko. Bianca trzymała go mocno za rękę i uśmiechała się najniewinniej w świecie.

— Czeka, — zawołała — gdy się wszyscy znaleźli w ostatnim wagonie pociągu — zawiążę ci krawat z mojej czerwonej wstążki. Tak możesz jechać, będziesz wyglądał, jak torreador.

\* \* \*

Anita i Pedro stali, gdy pociąg ruszył, u otwartego okna przytuleni do siebie. Pedro oparty o fra-



mugę wychylał się z lekka z rozkoszą wdychając świeże powietrze wilgotnego, słonecznego poranku. Z nad Virilli podnosiły się opary i gęstą błyszczącą rosą kładły się na dachach wagonów, budowlach stacyjnych, szynach i podkładach. Pośpieszny z miejsca wziął tempo, a koła wagonów dudniły głucho po mijankach i zwrotnicach.

— Za chwilę — rzekł wesoło Pedro — wjedziemy na most.

— Śpiewają, słyszysz, — zawołała Anita.

— To dzieci z nauczycielami z San José w pierwszym wagonie, kochana.

— Pociąg zdwajał szybkość.

— Minęliśmy stację — zauważył Pedro — już tylko dwa tory. Jeden nasz tor po którym jedziemy, a drugi ślepy, kończy się nad samą rzeką. Kiedyś poszerzą most i na całej linii będziemy mieć dwa tory.

— A gdybyśmy wjechali na ten ślepy tor?

— Bajdurki pleciesz, moja Anita kochana.

— A jakby?

— Tobo... Santa Maria, Jezu, co to się dzieje!?

Przeraźliwy grzyt hamulców napełnił nagłe uszy, aby być w tej sekundzie stłumionym przez nieludzki, chóralny ryk strachu i rozpacz. Wzdłuż wagonów przebiegło jakby drzenie, potem nagły gwałtowny wstrząs i... wagony stanęły.

Anita i Pedro uderzeni zostali o przednią ścianę przedziału. Kufry i walizy z łoskotem potoczyły się po podłodze.

Potworny huk, jakby eksplozji, potem drugi, trzeci... chwila przerażającej ciszy... by znowu zawibrował w powietrzu niesamowity piekielny krzyk z dziesiątek przerażonych gardzieli.

Pedro rozwarł gwałtownie drzwiczki i oboje z Anitą wyskoczyli. Pasażerowie wyskakiwali przez okna i drzwi. Tłum biegł w kierunku mostu. Pociąg, zahamowany nad samym brzegiem rzeki, stał na fałszywym torze. Lekki skręt niedozwalał Anicie i Pedrowi ujrzeć brzegu Virilli. Niósł się stamtąd nieustający krzyk ludzki, jęki, wołania i niezrozumiałe, przerażające syk i gwizd. Ponad dachy, pulmanów, ponad szczyty palm nadbrzeżnych podnosiła się zwolna wielka rudo-biała chmura dymu i pary.

Pedro zatrzymał biegnącego od przodu konduktora, chwytając go nagłym ruchem za poły munduru i, krzyknął:

— Człowieku, na miłość Boską, co się stało?

Puść pan, puść pan!

Na Pedro spojrzwały nieprzytomnie, szeroko rozwarte oczy pełne lęku i grozy.

— Tam, tam — jęczał prawie konduktor — w rzece... z wysokości czterdziestu metrów... lokomotywa... brancardy i dwa przednie wagony runęły... w wodzie... dzieci, połamane, zniszczone, puść pan!...

\* \* \*

Stojąc po pas w wodzie kierował Sawicki do-  
rażną akcją ratowniczą. Wokół niego w mętnej żółto-krwawej wodzie pływały odłamki z rozbitych wagonów.

Potworne, poplątane kupy pociętego żelaza, blach i drzewa sterczały opodal z rzeki niby fantastyczna olbrzymia wyspa. Szczątki lokomotywy, odrzuconej na bok, dymiły rudym, gryzącym tumanem. Kolejarze i wielu z pośród pasażerów szukając rannych brodzili po wodzie i śmiało nurkowali pod skle-

pienia utworzone nad wodą ze spiętrzonych szczątków.

Ale mimo poszukiwań i często bohaterskich wysiłków żywym nie znaleziono nikogo.

Inżynier z jakąś przeraźliwą pustką w sercu wyszedł na brzeg i oparł się o filar mostu. Na piasku przybrzeżnym układano obok siebie ohydnie zniekształcone zwłoki dzieci i dorosłych. W górze wysoko, opodal cudem zahamowanych wagonów stał milczący tłum pasażerów.

Nagle Sawicki drgnął. Dwaj mężczyźni wolno i ciężko wynieśli z wody i złożyli na piasek trupa młodej kobiety.

— Juana!

\* \* \*

Wieczorem pozostałych siedem wagonów cofnięto przed budynek dworca. Na peronie długim szeregiem leżały przykryte prześcieradłami i paltami trupy zabitych.

Pasażerowie zwartym tłumem stali wzdłuż wagonów. Nowoprzyczepiona lokomotywa sapała i syczała. Światło elektryczne pociągu raziło oczy.

Sawicki stał u stopnia pulmana i nic niewidzącym wzrokiem patrzył się bezmyślnie na ludzi, pociąg, czarne sklepienie nieba, gwiazdy migoczące i żółte światła dworca.

Pedro, pełnym współczucia i sympatji ruchem próbował pchnąć inżyniera w kierunku jego mieszkania.

— Senor — szeptał — senor odwagi.

Nagle z tyłu do Sawickiego podeszła Bianca Vanna i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie pojedziesz z nami?

Spojrzał na nią spojrzeniem szklanym i bez wyrazu. Chwilę błędził wzrokiem po jej włosach, po szyji, kibici aż wreszcie zatrzymał się na jej zmniejszonych z przestachu źrenicach.

Bianca Vanna spuściła głowę, wolno odwróciła się i, odeszła.

\* \* \*

— Zaraz ruszymy — szepnął Pedro.

— O Pedro, jakież to straszne!

— Nie wyglądam, kochanie, połóż się.

Do wagonu zbliżył się metys Roberto. Twarz miał wykrzywioną dziwnym grymasem, a broda drżała mu nerwowo.

— Senor — rzekł do Pedra zachrypłym głosem — senor Savici prosi abyś to wziął i oddał w Cartago senoricie Vanna.

To mówiąc wyciągnął do Pedra rękę i chciał wręczyć mały, nikłowy, błyszczący rewolwer.

Ale Pedro nie wyciągnął ręki naprzeciw. Stał, jak skamieniały z rozwartymi szeroko grozą oczyma, nieruchomo wpatrzony w skurczoną postać metysa.

Nagle ponurą ciszę stacji skroś jednostajny syk lokomotywy, skroś oddalony gwar nocnego koncertu cykad i żab, rozdarł przeraźliwy krzyk ludzki.

— Senores, to on, to ten metys przełożył zwrotnicę. Widziałem, gdyśmy mijali ostatnią zwrotnicę, to on, ten metys! —

Roberto rzucił się do ucieczki. Ale już silne ręce uchwyciły go pod ramiona.

— Na latarnię! — krzyczano z tłumem.

— Panowie — jęczał metys..., — bo miałem sen, straszliwy sen.

K O N I E C